



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## POGAWĘDKA.

Jak o zdrowiu danego społeczeństwa mówi każdy choćby najmniejszy dorobek jego duchowy, jego praca na polu literatury, sztuk, przemysłu i handlu—tak też dobrze świadczy o zdrowotności tego społeczeństwa i pamięć objawiająca się w uczczeniu ludzi zasług, którzy, żyjąc wśród niego, oddali mu to, co najlepszego mieli: rozum, wiedzę i serce. Narody, zapominające o swoich chwalech, noszą już na sobie znamie śmierci—jest to pęknięcie jednej nici ich żywota, po których nastąpią rwania się inne, aż rozzerwie się splot cały i zginie ślad wszelki ich ziemskiego istnienia. Wspomną coś o nich karty dziejów, ale to będzie napis grobowy zacierający się wciąż bardziej a bardziej w pamięci nowych pokoleń. Bez pamięci niema życia.

Jeżeli tak jest, a zdaje się nam, że nie jest inaczej—w społeczeństwie naszym zdrowa krew płynie. Nie zapomina ono o tych, którzy w głębie ojczystą zapuścili swój pracę, wyorywali skarby w niej ukryte, oczyszczali ją z chwastów, rzucali się w dobry, z którego plon zebrany starczyć może na lata długie.

Takim wyrazem pamięci i uznania był dzień jubileuszu Deotymy, tego wyjątkowego talentu, na który ani lata ani okoliczności nie wpłynęły. Przeciwnie nawet—talent ten wciąż rośnie, wciąż się wzmaga, potężnieje, tak, że porównyując ostatnie prace jej pióra do prac dawnych, zdumiewa nas kunsztowność formy, bogactwo rytmów, niewyczerpana siła młodości, to znamie

widoczne niestarzejącego się nigdy ducha. A przecie obchodziliśmy czterdziestopięcioletnie jej nieustannej pracy na polu poezyi.

Dnia 27 Maja r. b. około godziny dziewiętej wieczorem, zaczęły zajeżdżać powozy przed dom, w którym od wielu lat już mieszka jubilatka. Salony Deotymy wypełniły się ludźmi różnego wieku, płci, stanu i powołania. Salon był pięknie przybrany w krzewy i kwiaty, wśród których widniało marmurowe popiersie wieszczki; schody prowadzące na piętro tonęły w zieleni, zapach róż i konwalij unosił się w powietrzu, które orzeźwione przez deszcz nagle spadły, pełną falą wpływało przez okna i drzwi otwarte.

O godzinie 11-ej ścisł był ogromny. Parę set osób, oczywiście w strojach balowych, czekało na wejście jubilatki; szpaler, od drzwi wchodowych do złoczonego krzesła, na którym miała usiąść, tworzyli jej bracia w pieśni, którzy pod przewodnictwem niezmordowanego Adama Pługa, zajęli się urządzeniem tej jubileuszowej uroczystości. Gdy nikogo nie brakło z jej znajomych, przyjaciół i z tych, którzy hołd swój chcieli jej złożyć—weterani literatury naszej: Adam Pług i Kazimierz Kaszewski, wprowadzili Deotymę przy odgłosie muzyki i śpiewu. Chóry opery wykonały wspaniałą kantatę Noskowskiego do słów Duchnińskiej, twórca muzycznej pieśni akompaniował wykonawcom na fortepianie. Był to początek, rzeczywiście uroczystej chwili, po którym nastąpiły przemówienia i wręczenie darów.

Zaledwie umilkła pieśń, przed jubilatką stanął Pług Adam i w podniosłych wyrazach, głosem pełnym choć drżącym od wzruszenia, wypowiedział to, co czuł każdy, co każdemu z nas w głębi serca leżało. Za pieśni natchnione, za to, co było w jej „Pieśni” naród hołd złożył poetce, a hołd ten wyraził się w tysiącnych podpisach wielbicieli talentu Deotymy, złożonych w pię-

knym albumie, który wręczył jubilatce Jan Zacharyasiewicz. Wraz z albumem, podany został medal złoty bity w Krakowie, z popiersiem jubilatki i krótkim napisem wyrażającym hołd i wdzięczność rodaków.

Po Pługu głos zabrał Jan Zacharyasiewicz, jako delegat miasta Lwowa. Wspominając o ostatniej pracy Deotymy: „Jan Sobieski pod Wiedniem”—zaznaczył, że jak w naturze nic nie ginie, tak też nie ginie i w dziejach. Była chwila wielkiej potęgi Islamu, trwogi Rzymu, i przerażenia Wiednia. Lecz nawałnica tych hord mużmańskich odbiła się od piersi rycerstwa, któremu przewodził król Jan. Odetchnął Rzym, odżyła Austria.

Lecz wdzięczność nie leży w naturze ludzkiej—sprawiedliwość tylko wymierza Bóg, kierujący dziejami świata. Ta Austria uratowana stała się pierwszą gnębicielką swych wybawicieli. Jakby srom ją palił za zaciągnięty dług wdzięczności, eksterminacyjną walkę wypowiedziała potomkom tych, którzy wybawili Wiedeń z żelaznego uścisku wojsk Kara-Mustafy. Ale w naturze nic nie ginie, nie mógł być i przemazany dług wdzięczności. Nastąpiła wypłata—i dzisiaj Austria w synach wybawców jej dawnych ma wiernych poddanych i stróżów swej potęgi.

Po pięknej przemowie Zacharyasiewicza, wystąpił professor Akademii Jagiellońskiej, Edmund Krzemuski. Złożywszy jubilatce hołd od siebie, przeszedł, jak się wyraził—„do ważniejszej rzeczy”—bo oto—najpierwsza instytucja naukowa w Galicyi, Akademia Umiejętności, przesyła list Deotymie, jako uznanie jej zasług na polu piśmiennictwa ojczystego.

Krzemuskiego, zastąpił, po odczytaniu listu mężów akademii, Ignacy Baliński. Z innych stron już tam usłyszeliśmy głosy, od puszcz i niemnowej odnogi—i rozszerzyły się granice,

więcej serce zabiło, więcej głów pochyliło się przed bohaterką opisywanej uroczystości.

Teraz nadszedł czas na koło poetów, w których imieniu przemówił Kazimierz Julian Jasiński. Arfę z kwiatów i wieniec laurowy na poduszce pięknej złożyli Głiński i Or-Ot.

Nie na tem kończyły się dary, lecz Deotyma przemówić chciała. Duży salon zaległa cisza wielka, jubilatka powstała, milczała chwilę, zbierając myśli, przypominając słowa mówione do niej, — aż mówić zaczęła — oczywiście mową bogów.

Szkoda, że nie było stenografa, któryby mógł spisać jej improwizację. Dziękowała za pamięć, za dary, mówiąc, że — nie zasłużona, lecz tylko szczęśliwa bierze. Odpowiadała każdemu po kolei, zastawiając słowa do chwili obecnej, do darów otrzymanych. Pługowi powiedziała, że orze ziemię dla wszystkich, tylko nie dla siebie; posłała podziękę tym, którzy przemówili przez usta Balińskiego; z rąk Głińskiego wzięła arfę, instrument grecki, lecz miły dla niej, bo z kwiatów ojczystej ziemi spleciony; wieniec laurowy, podniesiony przez Or-ota, złożyła na czoło narodu. — Mówiła powoli, lecz równo, wyraźnie, bez wysiłku, z lekkim czasami skupieniem myśli.

Gdy huczne brawa, wypowiedziały zachwyt słuchaczy, głos zabrał Kazimierz Kaszewski. — Mówiąc o wrodzonym, a wielkim talencie Deotymy, dużą część zasług złożył na grób jej rodziców. Wiemy kim był ojciec poetki, czem był salon pani Niny Łuszczewskiej, w którym zbierała się najwyższa arystokracja ducha i krwi. Ale nie w tej umiętności zbierania doborowego towarzystwa spoczywa główna zasługa Łuszczewskich. Dawniej ucząca się młodzież żyła w stokroć cięższych warunkach wychowania, nie było zakładów wyższych, nie było uniwersytetu. — Gdzie więc młodzież, szczególnie młodzież uboga, miała się kształcić i marzyć o wyższych porywach ducha? — Otworzył się dla niej podwoje salonu pani Niny — otoczyła ich gościnność staropolska, a stosunek z ludźmi rozumu, serca i dobrego wychowania, wpływał dodatnio na tę młodzież, do której należała — przyszłość. Jeżeli państwo Łuszczewscy tak bardzo dbali o dzieci obcych rodziców, o ileż więcej starali się wykształcić umysł i serce swej córki? — Przemownym ich to wpływem zawdzięcza Deotyma rozwój swojego wielkiego talentu, pod ich to przewodnictwem kształciło się jej serce i rozum się wzmagal. Do czci jubilatki — dołączył więc mówca wyraz czci dla jej życiodawców.

Serdeczne podziękowanie otrzymał orator za to wspomnienie o rodzicach. Nie dziwo! — wiemy jaką czcią religijną otaczała ich zawsze Deotyma, jak wspomnienie ojca stało się dla niej „wizya złota.“

Przed tem przemówieniem odczytał jeszcze Kaszewski nadeszłe telegramy ze stron różnych — zadzwoniło nam w ucho i nazwisko Orzeszkowej, która w ciepłych słowach uczucia swe wyraziła i należy hołd wielkiemu talentowi oddała.

Nie na tem się skończyło, dwie jeszcze deputacje zbliżyły się do Deotymy — jedna od kobiet, druga od wnuków Odyńca. Pierwsza z wieniec, ostatnia z lutnią z kwiatów splecioną.

Jakkolwiek upał w salonie nużył jubilatkę, nie dała na siebie czekać. Kobiety polskie i wnuki Antoniego Edwarda otrzymały w upominku odpowiedź przesliczną, która, spisana, byłaby perłą cudowną, w rzędzie tylu już pereł Deotymy.

Na tem skończyła się ceremonia obchodu, po czem goście przygodni zaczęli opuszczać salon, została garstka tylko znajomych bliższych i przyjaciół z Parnasem na czele.

— Teraz chcę się bawić — odezwała się Deotyma. Mój to dzień, święto moje!

Przy win kielichach, orzeźwiwszy się lodami, popłynęła gawędka i odczytywanie poezji na cześć Deotymy w ofiarowanym albumie znajdujących się. Pierwszy zaczął Pilecki, później dwa sonety swoje odczytał Głiński, za co otrzy-

mał uścisk ręki królowy pieśni, zakończył Or-Ot.

Ale nie.

Odczytano jeszcze wierszyk siostrzeńca Deotymy, Tadeuszka Sadowskiego — wierszyk nadzwyczaj udatny, co oczywiście cioteczkę wielką napoiło radością.

Około godziny trzeciej po północy opuściliśmy salon Deotymy.

Z opuszczeniem salonu, lepiej powiedzieć — przybytku Muz — schodzimy znów na ziemię i znajdujemy się pośród szarych murów Warszawy rozpalonych od gorąca, pośród ulic, przez które nie zawsze przejść można z powodu reperacji bruków albo układania zupełnie nowych. Chciałoby się gdzieś odpocząć i świeższym odetchnąć powietrzem, ale, jak wiadomo, Warszawa należy do rzędu tych miast nieszczęśliwych, które nie mają zbyt obszernych ogródów, ani miejsc do przechadzek ocienionych rozłożystemi drzewami.

Pięknym bez zaprzeczenia jest Saski ogród, szczególnie, że leży prawie w śródmieściu, ale tam tylko o porannej godzinie rozkoszować się można, bo później nieprzeliczony tłum się zbiera i — *nolens volens* — powstaje obłok kurzu, którego właśnie uniknąć się pragnie. Zresztą, kochając ludzi, nie zawsze się chce być wśród ludzi. Są chwile, w których się samotności pożąda, ciszy, spokoju — daje się tylko prawo głosu przyrodzie, która umie kołować troski, wspomnieniami przemawiać, lać ukojenie w serce zmęczone. Warszawa tak się rozrosła, że dziś jej jest za ciasno we wszystkich znajdujących się ogrodach. Aleje Ujazdowskie z rokiem każdym nabierają coraz bardziej charakteru zwykłej, gwarnej ulicy; znajdujący się park przy nich roi się od tłumów, nie lepiej w botanicznym ogrodzie. Najbliższe okolice miasta są opuszczone zupełnie, chyba do Piaseczna ruszać i tam wśród ciszy leśnej, nad brzegiem Jeziornej, upragnionemu oddać się spoczynkowi. Lecz na taką wycieczkę trzeba niemal dzień cały poświęcić — a nie każdy może na zbytek taki pozwolić sobie.

Najpiękniejszy miesiąc wiosenny — Maj, minął niepostrzeżenie. Nie zasłyszano się nawet słowika, wzrok nie popłynął wzdłuż łąnów zielonych, nie wiem nawet czy skowronki śpiewają tego roku. Nie żyje, lecz wegetuje człek w mieście... A gdy takiej niewoli rok i drugi przepłyne — nie dziw, że czasem człek sarknie na losy, że jakaś złość we wnętrzu jego zakipi i mało uprzejmym dla siebie się nawet staje.

Śpij, fantazyj, — nie wszystkim podobają się rojenia twoje; nie przesładuj mnie, maro piękna, śnie na jawie — rzucam ciebie i kieruję krok swój ku ogródkom, gdzie słycać brawa dawane prowincjonalnym aktorom.

Wiele tych letnich teatrzyków mamy w Warszawie? Belle-Vue (dziś Odeon) Vaudewille, Eldorado i zdaje się jeszcze jeden, którego nazwiska jeno nie pamiętam, ale oczywiście z francuzka zabrzmi, bo stara miłość przykuwa nas zawsze do Francuzów.

I rzeczywiście, gdy jakiś Francuz znajdzie się na bruku warszawskim, mile jest zdumiony grzecznością naszą dla jego rodowitego języka. Teatrzyki polskie noszą nazwiska — niepolskie; spotyka zresztą *Maison d'or*, *Versaille*, *Sans-Souci* a choć ta nazwa ostatnia Fryderykiem Drugim pachnie, to nie — przeciętny warszawiak zapominał o tem, jego uderza dźwięk słowa, niewymowny czar wyrazu. Czasami rozsądek tłumowi sam da nazwę cukierni, czy kawiarni jakiejś, ale jakie to ordynarne, grube, brzydkie! Naprzykład — „Patelnia“ — czyż może się równać z *Versaillem*. Przy pierwszym coś skwierczy, smaży się i kopci, przy drugim — czujemy jakąś woń elegancyi, coś, głaszczącego nasz smak estetyczny. Albo — „Krzaczki“ czyż mogą wytrzymać konkurencyą z „Sans-Souci“? — W „Sans-Souci“ pozbywamy się trosk, kłopotów; ucho nasze bawi szmer strumyka, tajemniczy szum liści, może szept ukrytej gdzieś fontanny, albo urywane westchnienia przelatujących zefirów. A „Krzacz-

ki?“ Coś małego, rozczochranego przed nami staje; zdaje się, że słyszymy nieznośne bzykanie muchy, napada nas tłum kęsający komarów, omal, że czworonożny kwiczoł, nie pozbawia nas ostatecznie apetytu. Niel te polskie nazwy są niemożebne, — a gdzież się silić jeszcze na wynalezienie nowych przy takim widocznym ubóstwie naszego języka. Nie będzie „Krzaczków“ to ręczę, że „Gaik“ wypłynie; zamiast „Patelni“ — „Makutrę“ mieć będziemy — Łysą Górę zamieszkały nawet czarownice, czego nigdy by nie śmiały uczynić, gdyby ją nazwano z francuska jakoś. — Bo cóż to pomoże, że ja, że ty, czytelniku, z przyjemnością zgodzimy się na „Patelnię“ i „Krzaczkami“ nie pogardzimy wcale, — dyrektorowie teatrzyków, przedsiębiorcy restauracyjni mają od nas nieco więcej pojęcia o nazwach estetycznych, no — i pewnymi wiadomościami pochwalić się też pragną.

Ale my?

Powstawały u nas jak grzyby po deszczu te nazwy nie nasze, ta nomenklatura cudzoziemska, i nie zwracaliśmy na to uwagi żadnej.

Dla czego?

Bośmy sfrancuzieli.

No — ale przecie i odfrancuzić się można, wypadają nawet i trzeba.

Pierwszy „Kuryer Codzienny“, podjął tę sprawę — ale, czy nie będzie to głos wołającego na puszczy, czy zechcą zrozumieć ci amatorowie nazwisk nieswojskich, że zawsze łatwiej być uczoną papugą, niż o zdrowym rozsądku człowiekiem?

Tenże „Kuryer“ umieścił w łamach swojego pisma bardzo dobry artykuł, mówiący o przedrukach.

Na ostatnich zjazdach międzynarodowych podnoszono niejednokrotnie kwestyę własności informacyi i wiadomości, podawanych przez dzienniki. Rozprawy jednak skończyły się na niczem, bo ukazała się ogromna trudność w sprawdzaniu źródeł, z jakich, takie, a takie wiadomości pochodzą, rzecz więc całą pozostawiono grzeczności redakcyj, zalecając, by przytaczający dziennik zkaż wiadomość zaczerpnięta została. Co się zaś tyczy artykułów większych rozmiarów, tej już sprawy nie poddawano dyskusyi, gdyż dostatecznie ją broni tak zwane prawo literackiej własności. Przekroczenie tego prawa — rozstrzyga sąd, no — i winowajca słuszną karę za przywłaszczenie niekupionej własności — ponosi.

U nas drobne takie wiadomości, aczkolwiek z drugiej ręki brane, nie podlegały żadnej cenzurze; takie, a takie pismo podawało je do wiadomości szerokiego ogółu bez cytowania źródła, no — i żadnej nie rozszczono do tego pretensyi.

Inaczej rzecz się miała z artykułami dłuższymi.

Jakkolwiek prawo własności literackiej nie jest u nas uregulowane jeszcze, zastępowało je prawo zwyczajowe i nie było wypadku dotąd, ażeby jakie bądź pismo, kalendarze nawet, ośmieliły się wydrukować wiersz lub prozę bez zapytania autora o pozwolenie, jako też bez — honorarium. — „Zapoczątkowało dopiero „Ziarno“ — powiada Kuryer — które uczyniło sobie z przedruków zajęcie zawodowe.“

Zdaje się, że pierwszy „Głos“ podniósł tę sprawę, w imię przyzwoitości radząc, żeby redakcyja „Ziarna“, korzystając *bezpłatnie* z drukowanych prac, pewny, choćby małe odsetek składała na rzecz kassy literackiej.

Nieźle by i to było — ale...

Oto bardzo rozumna, a przekonująca odpowiedź Kuryera.

„Nie! — prosty bowiem rozsądek odpowiada, że takie zobowiązanie się z cudzej kieszeni, bez pytania o zgodę tego, komu się honorarium należy, nie jest właściwem. Jedynie wówczas byliby korzystający z przedruków w zupełnym porządku, gdyby, zażądawszy pozwolenia na powtórne korzystanie z drukowanej już raz pracy, zobowiązali się jednocześnie do wypłaty stałej oznaczonego lub za każdym razem oddzielnie umówionego wynagrodzenia autorowi, pozostawiając jego uznaniu rozstrzygnięcie pytania: czy ma dać czy nie dać pewnej części z otrzymanej

kwoty na kasę literacką lub jaki inny cel filantropijny."

Co przeciw temu powiedzieć?  
Oczywiście, że nie.

Stosunki literackie u nas nie w barwach tęczy się przedstawiają, nie na edredenowych puchach spia literaci, zaciężka jest ich praca, zamale wynagrodzeni, ażeby mogli panowie wydawcy, korzystając z mileżącego w tym wypadku prawa, nadużywać praw cudzej własności.

Ale—muszę tutaj stanąć w obronie „Ziarna“

Nie ono pierwsze zaczęło uprawiać tę politykę zaboru, ono skorzystało tylko z przykładów dawniejszych, z czynów skromniejszych wprawdzie nieco—i rozszerzyło ją tylko do granic bardzo poważnych, które zbyt wielką jawnością swoją uderzyły nam w oczy. Ja znam naprzykład taki wypadek.

Wydawca X. nabywa od autora Y—zbiór wierszy dla dzieci i młodzieży. Drukuje książkę zagranicą. Wydawca X. umyśla zmniejszyć jej objętość do jednej trzeciej i w takiej formie wydać u nas. Alisście zaledwie zamiar swój wykonał, już pojawiły się inne książeczki dla dziatwy, gdzie X. zobaczył z zagranicznego wydania swego zbioru przedrukowane wszystkie dające się wydrukować tu wiersze, stanowiące właśnie ową 1/3, na którą wydawca X. liczył.

Co ma robić? Procesować?

Ba! prawo dozwala każdemu przedrukowywać każdy nakład w objętości 1/3 książki.

No, dobrze—ale X. poniósł kosztu na wydawnictwo i autorowi umówione honorarium zapłacił.

Cóż z tego?—prawo jest nienaruszone.

Zapewne—ale są jeszcze inne prawa, choćby przyzwoitości towarzyskiej, codziennej moralności, mówiące: nie twój!

Ba!

Przedewszystkiem zysk idzie — a czemu nie korzystać, gdy jest sukienka, pod którą bezpiecznie schować się można?—Ach! źle jesteśmy wychowani, źle bardzo—lecz złemu, o jakim mówimy, może tylko zaradzić solidarność wszystkich wydawców i—karcący głos prassy, stawiający podobne nadużycia przed oczyma publiczności.

Wspomnieliśmy wyżej o wzroście Warszawy. Jakkolwiek obecnie stary gród mazowiecki liczy przeszło sześćsetkroćtysięcy mieszkańców i zabiera coraz więcej przestrzeni, posuwając się ku Mokotowowi, który w niedalekiej przyszłości w ramiona Warszawy padnie—w samym środku miasta, burzą dawne dzielnice, przeprowadzając ulice nowe, wyznaczają miejsca na mające się wznosić domy. W ten sposób zniknął piękny ogród Kronenberga przy ulicy Marszałkowskiej—w ten sposób uwalnia się przestrzeń ziemi zajęta pod budowlę szpitala Dzieciątka Jezus.—Wiemy, że nowa ulica, idąca od Marszałkowskiej do placu Wareckiego, będzie zwać się Moniuszkowską, że miejsce, na którym stoi kościółek szpitalny, nabyła hr. Ludwikowa Krasieńska, głównie dla uratowania pamiątkowej świątynki, która upiększona, powiększona niemałą z czasem będzie ozdobą miasta. Projektują teraz, ażeby plac Warecki nazwać placem Baudouin'a, ażeby na nowomającym powstać skwerze postawić pomnik zasłużonemu kapłanowi.

Na pomnik zgoda—lecz po co zmieniać nazwę placu, na którym, kiedyś może, powinien stanąć pomnik starości Wareckiemu? Zdobí on wprawdzie Tykocin, ale Warszawa jest właściwszem miejscem dla niego. Natomiast przyklasnąć możemy myśli nazwania ulicy Karowej ulicą Mickiewicza. Z czasem stanie się ona ozdobą miasta, mając widok na Pragę, piękny gmach panoramy Golgoty i spad ku Wiśle. Prawdopodobnie pomnik stanie na Krakowskim-Przedmieściu, na skwerze na przeciw ulicy Trębackiej. Innego miejsca nie masz prawie w Warszawie na monument godny piewcy Pana Tadeusza.

Wiemy już, że komitet pomnika Mickiewicza, wykonanie wspaniałego dzieła polecił Godebskiemu, który ma zjechać do Warszawy dla ułożenia się o warunki budowy i wykonania rzeźby. Artystom naszym niemiła ta wiadomość

będzie, bo liczyli na konkurs i gorączkowo przygotowywali się do pracy. Znam nawet jeden już projekt przepyszny w pojęciu, odpowiadający w zupełności celowi—ale, mówię tylko o pojęciu, bo wykonanie to jest rzecz inną całkiem. Konieczność pośpiechu kazała oczywiście komitetowi zwrócić się do najsłynniejszego naszego rzeźbiarza. Oby wzniosł się duchem do wysokości zadania, jakie ma spełnić,—a naród wdzięczny mu będzie za wykonanie wiekopomnego dzieła.

??

## NA POŻEGNANIE.

Nim mnie na zawsze z ziemią rozdzieli

Wieczysty, cichy sen,

Nim mnie na chłodnej złożą pościeli,

W przeczroczej stroju ślubnego bieli

I wieniec upną ten,

Splynie wy do mnie, splynie raz jeszcze

Póki drga życia zdrój

Poraz ostatni niech was upieszczę:

Barwne obrazy, piosenki wieszczę

I duchów bratnich rój...

Nie te obrazy, jakie na płótno

Niepewna kładła dłoń,

Lecz te, co tęczą natchnień rozrzutną

Wiązały z niebem duszę mą smutną,

Opromieniały skroni.

Nie te piosenki, ujęte piórem,

Którym, ach! tyle brak!

Lecz te, co w duszy anielskim chórem,

Polotem myśli śpiewały wtórem

Rwąc je nad ziemski szlak.

I nie te duchy, co tu na ziemi

Po ścieżkach moich szły,

Lecz te, marzone snami złotymi

Co ocierały skrzydły białemi

Z mej twarzy znój i lzy...

Splynie wy do mnie po raz ostatni,

O, splynie wszystkie tu,

Nim skon z cielesnej wyrwie mnie matni

Niech mnie utuli orszak wasz bratni

Do wieczystego snu...

Izolta.

## NA ZASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas - Junoszę.

(Dalszy ciąg).

Janina wstała rano, niewyspana, zgnębiona trapiącymi myślami. Wcześniej było bardzo, więc skorzystała, że jej nikt widzieć nie będzie i zesza cichutko do ogrodu, aby tam w ciszy poranku, pośród cudów przyrody, przyjsie nieco do równowagi i znaleźć spokój tak bardzo jej potrzebny, aby się nie zdradzić. Będąc tak długo już mieszkanką wsi, przekonała się, że przechadzka po świeżem powietrzu, widok szeroki pól i łąk, najlepiej nerwy wzburzone uspakają i lekroć przyszła na nią chwila zwątpienia lub smutku, skutecznie tego środka używała.

Chodziła wolnym krokiem, okrywając się od słońca parasolką, nie oddalając się za nadto od

domu, aby nie zbłądzić wśród labiryntu ścieżek, wielkiego ogrodu. Chodziła ze spuszczoną głową, zamysłona głęboko, nie oglądając się, nie zwracając uwagi na nic wokoło.

— Dzień dobry pani! a... jaki ranny ptaszek! Gdybym był gospodarzem tego domu, zapytałbym pani czy nocą źle nie spędziła, kiedy tak wczesnie opuściła pani swój pokój.

Janina zatrzymała się i siląc się na uprzejmy uśmiech, powitała księcia, który badawczo spojrział na nią i zwolna głową pokiwał.

— Widzę, że się nie omyliłem...—rzekł—wygląda pani mizernie... niewyspana, smutna i zgnębiona... Roman się zmartwił!

Lekki odcień rumieńca ukazał się na chwilę na twarzy Janiny.

— Pan Roman musi być wyrozumiały...—szepnęła z cicha, spuszcżając oczy.

— Wyrozumiały na twój smutek, zgnębienie?—zawołał książę.—O nie! mylisz się pani! na to żaden kochający mężczyzna wyrozumiałym być nie może. Bo i czegoż się zmartwił! Pozwól mi dziecko drogie, być z tobą szczerem... jak ojeu. Czuję i rozumiem twoje skrupuły, obawy—ale ich nie podzielam. Co cię ma świat cały obchodzić, jeżeli wiesz, że on może być szczęśliwym przez ciebie?

— Czy nim być może?—spytała, z obawą zadając księciu pytanie. — Czy nie pożałuje kiedy niedorzecznego kroku?...

— A!... chyba nie wierzysz w jego serce i charakter?—zawołał książę prawie oburzony.

— Wierzę... wierzę!—odrzekła Janina szybko, oblana rumieńcem wstydu, na samo przypuszczenie księcia, że ona mogłaby mu niedowierzać, wątpić.—Wierzę—powtórzyła z mocą,—w pana Romana... wierzę, w to co on mówi, i kiedy mówi... ale taka jestem niespokojna... gdy pomyślę o tem wszystkiem...

Łagodnie, z dobrocią, jak ojciec prawdziwy, uspakajał książę skrupuły młodej dziewczyny, słowa jego zbawienny wpływ wywarły na jej umysł, pograżony w zwątpieniu.

Gdy w parę godzin potem Janina znalazła się w towarzystwie, nie widać już było na jej twarzy pomieszania ani przymusu. Była poważna, często mileżąca, ale nie smutna.

Mięszało ją tylko gdy pan Bronimirski do niej przemawiał, a czynił to często, z widocznem upodobaniem. Każdy kto chciał to widzieć, musiał zauważyć, że Janina bardzo dobre wrażenie uczyniła na nim. Roman promieniał z zadowolenia... Natalia uśmiechała się ironicznie, a pani Żarnowiecka usta zagryzała, starając się nie przywiązywać najmniejszej do tego wagi. Jednak, nadeszła chwila, w której hrabina także musiała przyznać, że osoba młodej sieroty, tak mało znacząca dotychczas w jej domu, tutaj wobec staro Bronimirskiego, nią być przestała.

Kiedyś, po kilku dniach pobytu pań w Wasilcach, pan Bronimirski zatoczył swoje krzesło na północną werandę i wraz z hrabiną przyspotał się młodzieży, grającej na trawniku w lawn tennis.

Długi czas rozmawiali o dawnych czasach i wspólnych znajomych, a potem stary zagadnął:

— Jaka miła twoja wychowanka, kuzynko, zaszczyt ci robi... czy dawno nią się opiekujesz?

Pani Żarnowiecka uczyniła ruch oznaczający znieważenie.

— Janina Strzelicka bawi u mnie od trzech lat,—odrzekła.—Wyznaję otwarcie, iż zaszczyt jej wychowania nie spada na mnie... uczyła się na pensyi, u ludzi obcych... Musiałam ją przygarnąć do domu, sierotę, nie posiadającą ani krewnych, ani majątku...

— Bardzo pięknie z twojej strony, kuzynko,—rzekł pan Bronimirski, zdając się nie zważać na ton oschły z jakim się wyrażała.—Muszą panna Janina być wdzięczną za swoją nad nią opiekę; widzę po niej, że jestto istota słodka i dobra. Co za śliczne, łagodne a rozumne oczy ma ta dziewczyna!

Pani Żarnowiecka zaśmiała się z przymusem.

— Doprawdy? ej! kuzynie!... pozostaliśmy jak widzę admiratorem poci pięknej, pomimo tej siwej brody!

Pan Bronimirski uśmiechnął się.

— Sądzę, że nie tylko ja jeden zauważyłem oczy panny Janiny; zapewne miała już jakiego konkurenta?

— Ona?—zawołała hrabina, nie kryjąc zazdroszczenia.—A któż się dziś żeni bez posagu?

— Hm!... przypuszczam, żeby się tacy znaleźli... No, jakże więc? nie myśli kuzynka wydać jej za mąż?

Pani Żarnowiecka znowu się poruszyła niecierpliwie.

— Przyznam się... żem o tem dotychczas nie myślała!— wyznała otwarcie, z niechęcią.—Zresztą, kuzyn wie zapewne kto jest Janina... kto był jej matką... panna Kinowska dość mi krwi napsuła, wychodząc wbrew mojej woli za mego brata... Po jego śmierci wyszła powtórnie za mąż i została mi w spadku córkę... Nie może chyba kuzyn brać mi za złe, że nie jestem wstanie przepadać za tą małą... *Il y a des choses que l'on ne peut ni oublier, ni pardonner...*

Pan Bronimirski zamyslił się na chwilę.

— Jestem pewny, — rzekł w końcu poważnie, że pani inaczej myśli w głębi duszy... Zapomnieć i przebaczyć można największe krzywdy... a cóż dopiero tym — którzy już nie żyją...

Pani Żarnowiecka wyglądała trochę pomieszana.

— No, tak! uniosłam się nadto... prawda!—tłómaczyła się. — Próbowałam przecież zbliżyć się do bratowej—to jest... ofiarowałam się z pomocą w wychowaniu synka po zmarłym Feliksie... no!... odrzucono moją ofiarę!...

— Widziałem raz tylko w życiu bratową kuzynki, — ale już jako panią Strzelicką, — mówił pan Bronimirski, nie odpowiadając wprost na słowa hrabiny. — Wydała mi się bardzo miła, niesłychanie dobra i pełna szlachetnych uczuć... Wyszła powtórnie za mąż za poczciwego człowieka, który ją kochał gorąco, wyszła dlatego tylko, że zacy ten człowiek nie chciał jej dać zginać... z nędzy, biednej wdowie z dzieckiem... nie posiadającej żadnego utrzymania. Wyznała mu otwarcie, że miłość jej poszła do grobu za Feliksem—to go nie zraziło. Był dla niej najlepszym mężem i opiekunem jej dziecka...

— Pięknie nim pokierował, — zawołała z oburzeniem hrabina. — Za jego wiedzą, namową... *mój siostrzeniec* został—lekarzem!

— Czy mu się źle powodzi? — spytał poważnie pan Bronimirski.—Czy żałuje, że poszedł tą drogą, narzeka może?

— Nie! — odrzekła pani Żarnowiecka z ironicznym uśmiechem.—Jest zachwycony swoim zawodem... zarabia pieniądze! — dodała z goryczą.

— Bardzo pięknie! więc dla czego kuzynka z takim żalem się wyrażasz?

— Jakto? więc kuzyn tego nie rozumie, jak mi musi być przyjemnie, że jest jeden Umiński, który zapisuje proszki, mikstury, ludziom puls liczy—i bierze za to pieniądze w łapę... jak lokaj!...

Pan Bronimirski uśmiechał się z lekka i potrząsał głową.

— Jak to widać, — rzekł, — że kuzynka zasiadła się w Żarnkach!... Tam gdzie ja przez lat kilka żyłem — w Paryżu, Londynie—tam zupełnie inaczej na podobne sprawy się zapatrują. Minęły te czasy, droga pani, kiedy szlachcic polski siedział na zagrodzie, choćby najmniejszej uważając się za pana... pilnując roli, lub trzymał się kłamki braci magnatów, wysługując się wiernie jak pies... zależny od ich łaski... a co właśnie według mnie upokarzało człowieka. Dziś, roli mamy nie wiele, magnaci prawie zaginęli. Ludzie doszli do przekonania, że najprędszym środkiem dojsca do znaczenia i majątku, jest nauka... Uczą się więc mali i wielcy, nie wstydząc się tego, współubiegając się w pracy, że ona nikogo nie hańbi. A jakie właściwie kuzynka miała zamiary co do przyszłości siostrzeńca?

— Jakie zamiary?... to rzecz całkiem prosta i powiem kuzynowi otwarcie. Zdaje mi się, że Kazimierz nie mógłby nawet wymagać więcej odemnie. Pragnęłam szczerze ożenić go z Kamillką i oddać im Żarnki...

— Hm... hm... — mruknął pan Bronimirski.— a czy pani pytała czy on miałby ochotę do gospodarstwa?

— Każdy szlachcic polski jest po trochu gospodarzem... leży to we krwi, płynie z tradycji...

— Bardzo subtelne zdanie...

— Zresztą, nie zmuszałabym go przecie... — robiłby co by mu się podobało. Mój rządca bardzo sumienny człowiek, mógłby go zatrzymać. No, ale nie ma o czem mówić... Dziś już wszystko przepadło; Kamilka rozrządziła sobą... *Il y avait même un commencement d'amourette*, między niemi—potrafiłam temu koniec położyć...

Pan Bronimirski nie pytał o szczegóły; przykro mu było dowiadywać się takich rzeczy. Znał od dawna żonę swego krewnego, z którą ten ostatni ożenił się, nie biorąc z nią ani grosza posagu; ale panna Umińska, zostawszy hrabiną, odrazu stała się zagorzałą arystokratką... Pan Bronimirski zawsze wywijał się zreczenie od dysputowania z nią na ten temat; nie mogli nigdy dojść do wzajemnego porozumienia. On, arystokratyczne zapatrywania i dążenia hrabiny nazywał rodzajem aberacji umysłowej, ona znów, zwała go magnatem demokratą i przewróconą głową...

## XIV.

Spokojnie, ale nie jednostajnie, upływał gościami czas w Wasilcach. Roman znakomitym był gospodarzem, umiał umilać każdą chwilę, wynajdując coraz to nowe rozrywki. Jednego dnia robiono wycieczkę do lasu, drugiego na rzece; urządzano podwieczorki na murawie, jeżdżono konno a parę razy nawet tańczono w małym kółku. Sąsiedztwa nie było dużo, tak jak w Żarnkach, bo klucz Wasilecki ogromny obszar zajmował w okolicy głównej rezydencji; były jednak trzy czy cztery domy, z którymi panowie Bronimirscy stosunki odnowili. Znalazło się nawet kilku młodzieńców—dla rozrywki Natalii, która rozgorączona na Romana, nudzić się zaczęła.

Pani Żarnowieckiej było bardzo dobrze w Wasilcach; miała wygodę jak w domu, a kłopotów żadnych, dogadano jej, uprzedzano życzenia, grała rolę pierwszej osoby w towarzystwie, do której wszystko się odnosiło i wszystko zależało.

Ale na pogodnym horyzoncie błąkały się lekkie chmurki, które mniej lub więcej zaćmiewały błogą egzystencję. Pierwszą z nich i najmniejszą, była konieczność wyrzeczenia się nadziei, posiadania Wasilec dla Kamilli. Hrabina od niedawna, od chwili gdy pan Bronimirski niebacznie uczynił propozycję żeby młodzi poznali się z sobą, uczepiła się myśli pobrania Kamilli z Romanem i trzymała się jej z właściwym sobie uporem, gdy nagle Kamilla szyki jej popsukała... Żal i gniew ją porывał gdy patrzyła na dostatki, na pańską zamożność tego domu!

Z kim Roman się ożeni? kto otrzyma to wszystko? a może się nie ożeni... w takim razie, Kamilla należy do najbliższej rodziny... Och, gdyby się tak stało! Właściwie, na co jemu się żenić? ma już blisko trzydzieści lat—a może więcej—lubi niezależność, podróże... do kobiet się nie garnie... Rzeczywiście, to bardzo prawdopodobne, że zostanie starym kawalerem.

Pocieszała się jak mogła tą błogą myślą, irytując się z drugiej strony z powodu Janiny.

Nie było wątpliwości, że młoda dziewczyna bardzo się zmieniła od czasu przyjazdu do Wasilec; co było powodem tej zmiany? hrabina na próżno siliła się odgadnąć... Ta cicha, potulna, nie nie znacząca sierota, stała się tutaj poważną, odzywającą się wprawdzie rzadko, ale zawsze w porę, uważając się za zupełnie równą wszystkim tutaj obecnym... Zawróciło jej się w gło-

wie! stanowczo się zawróciło!... Piękna będzie z nią robota gdy wrócą do Żarnek i panna ze-chce grać pierwszą rolę w salonie!... Pani Żarnowiecka byłaby z chęcią scenę zrobiła swojej wychowance, ale niestety, musiała przyznać w duchu, że do tej sceny nic ją w postępowaniu Janiny nie upoważniało... i to ją gorzej jeszcze irytowało.

Janina czuła wybornie tę irytację, starała się unikać zetknięcia z hrabiną i nie narażała się na żadną z nią rozmowę, ale żal wielki ściszał jej serce...

Tydzień już upływał od przyjazdu pań. Hrabina zaczynała mówić o powrocie. Rodzice Stanisława obiecywali swój przyjazd do Żarnek, w przejeździe z Karlsbadu; pani Żarnowiecka musiała się przygotować na ich przyjęcie; uproszona jednak przez kuzyna i zapewniona przez Stanisława, że przyjazd jego rodziców nie nastąpi aż za jakie dwa tygodnie, hrabina obiecała pozostać jeszcze parę dni w Wasilcach.

Panie poszły kąpać się w rzece, pewnego poranku, tylko Janina pozostała w pałacu, ponieważ kąpała się zwykle bardzo wcześnie.

Postanowiła sobie, korzystając z wolnej chwili, zwiedzić ogromną cieplarnię, której dokładnie nieznała. Cieplarnia imponowała jej swoim ogromem i urządzeniem kwiatów teraz, w lecie nie było tam wiele, bo wyniesiono je, prócz rzadkich okazów do ogrodu, ale znajdowały się aleje olbrzymich palm, kaktusów, rodo-dendronów, cyprysów, drzew pomarańczowych, cytrynowych i figowych, warte widzenia. Cieplarnia, oszklona ze wszystkich stron, wyglądała jak olbrzymia hala, z wysypanymi drobnym piaskiem ścieżkami, z fontannami i basenami wyłożonemi marmurami. Cisza panowała tutaj i woń gorąca, wilgotna, jak pod równikową strefą, odczynną roślin i krzewów tutaj przechowywanych.

Janina przechadzała się z wolna, gubiąc się w labiryncie ścieżek, zatrzymując się co chwila i patrząc z lubością na cudowne okazy, zachwycając się i dziwiąc.

Nagle na zakręcie ścieżki spostrzegła Romana, który śpieszył ku niej z wyciągniętymi rękami, z uśmiechem szczęścia na rozchylonych ustach.

— Moja pani zwiedza swoje królestwo!... — zawołał, — o, jakże mi się pięknym teraz ten zakątek wydaje, kiedy raczyłaś zaszczycić go swoją obecnością...

Mówiąc to zbliżał się, ujął obie jej ręce i przyciągał ku sobie...

Nie wyciągała rąk swoich, ale oparła się z lekka gdy ją chciał przyciągnąć i rumieńcem okryta spuściła głowę.

Roman zwolnił nieco jej ręce z uścisku i twarz mu posmutniała.

— Nie chcesz mi dać najmniejszego dowodu twojej miłości...—rzekł z wyrzutem.—Narzeczonemu przecie wolno, choć raz jeden dotknąć nstami czoła narzeczonej...

Podniosła z wolna głowę i spojrzała na niego poważnie.

— Wolno? — rzekła. — Ja o tem nie wiem... a czego nie jestem pewna, tego czynić nie mogę...

Jemu oczy nagle zabłysły; przyklął na jedno kolano i ręce jej ze złością do ust tulił.

— Aniele mój!...—szeptał

W tej chwili posłyszano ruch jakiś i zgrzyt piasku.

— Powstań pan!—zawołała Janina przerażona. Roman powstał, ale bynajmniej nie przeleknięty.

— Nie poznajesz, najdroższa, kto się zbliża?—rzekł z uśmiechem i nie puszczając jej ręki obrócił się żeby pójść naprzód, gdy z po klombu palm, ukazał się wózek kierowany ręką pana Bronimirskiego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Maju.

### II.

Salon na polu Marsowem, posiada nie jedno dzieło prawdziwego talentu. Tego roku rzeźba wydarła pierwszeństwo malarstwu, wieńcząc laurami skronie Augusta Rodin'a za wykonanie grupy przedstawiającej Wiktora Hugo, słuchającego głosów Oceanu.

Wielkiego poetę, przedstawił artysta siedzącego nad morzem, pomiędzy skałami okrytymi pianą morską. Potężna naga postać autora *Le-gendy wieków* czyni go podobnym do bożka starożytności, słuchającego, z wyrazem głębokiego i natchnionego marzenia, mistycznego szumu wód morskich.

Głosy fal uosobnił artysta postaciami dwóch kobiet. Jedną z nich o klasycznej postawie Junony, nakazującym tonem zdaje się przemawiać. To muza śpiewająca potężnymi słowy pieśń wielkich czynów do ucha poety.

Druga drobniejszych kształtów, marząca, czuła, to muza śpiewająca łagodnymi tonami o blaskach słońca, zapachu kwiatów, wdzięku szybujących ptaków, o piękności kobiet i dzieci.

Z wyrazem nieopisanego zadumy i wielkości Wiktor Hugo zda się nad słuchuje i zapisuje w pamięci jemu zrozumiałe słowa.

Wiele doskonałych rzeźb wyszło z pod dłuta Rodin'a, żadne jednak nie posiadało siły i natchnienia w takim stopniu, jak ta ostatnia kompozycja, najpiękniejsza chyba ze wszystkich innych poświęconych pamięci Wiktora Hugo.

Niezwykłą siłą talentu i wykonania odznacza się również piękny obraz Eugeniusza Carrière'a—przedstawiający *Chrystusa na krzyżu*. Temat tylokrotnie wyzyskiwany, potęgą wykonania budzi nadzwyczajne wrażenie.

Od czasu Rembrandta i Prudhon'a żaden z malarzy nie oddał z takim mistrzostwem okrutnej chwili Męki Chrystusowej.

Niewielki obrazek Michała Carin'a zatytułowany *Tulacze*, należy takie do arcydzieł w swoim rodzaju. Na ciemnym tle nocnego pejzażu dwójka ludzi, znużonych podróżą odpoczywa pośród pustej drogi. Kobieta karmiąca u piersi małą dziecinę, mężczyzna, zapatrzony w dal mroczną zapadającej nocy, przypominają biblijną scenę ucieczki Najświętszej Panny do Egiptu. Tak treść, jak i wykonanie tego obrazka słusznie wywołują wielki efekt.

Znakomity malarz Dagnan-Bouveret wystawił doskonale studyum wieśniaczki i dwa bardzo piękne portrety kobiet.

Pomieszczone tuż obok portretów słynnego Carolus'a Durand'a portrety Dagnan'a są może mniej dekoracyjnie efektowne, za to są daleko więcej naturalne, a w wykonaniu posiadają niezaprzeczenie większą artystyczną wartość. Do lepszych portretów należą także portrety Edelfelt'a, Roll'a, Bouvet'a, Bernard'a i kilku innych.

Do najlepszych pejzaży można zaliczyć obraz Roll'a przedstawiający orkę w polu—i trzy przeszliczne kompozycje Leona Lhermitte'a.

Olbrzymich oficjalnych płócien nie wiele wystawiono w tym roku. Do największych należy obraz Gervexa przedstawiający defiladę arabów w pałacu Przemysłu.

Dalej idą—płafon Dubufe'a, przeznaczony do biblioteki w Sorbonie—dekoracyjny obraz Latouche'a oraz przyjęcie nuncjusza apostolskiego w Jeruzolimie, wykonane przez Tissot'a.

Od dłuższego czasu chory Puvis de Chavannes nie wystawił żadnego płótna w tym roku i ztąd zapewne nastąpił ów brak dzieł wielkich natchnionych, jakimi są wszystkie kompozycje tego artysty, słusznie nazwanego geniuszem współczesnej malarskiej szkoły francuskiej.

Nim opuścimy Pole Marsowe, należy jeszcze zająć do *Salonu Artystów Niezależnych*, ruchliwego, modnego stowarzyszenia otwierającego na roz-

cież drzwi swego locum dla każdego z wystawców. Kto tylko umie władać pędzlem może tu debiutować ze swymi artystycznymi reprodukcjami. Piękna idea, przewodnicząca w założeniu stowarzyszenia *Niezależnych*, dozwala coraz więcej rozwijać się instytucji. Od lat dwunastu jak powstała, przyjęła i pokazała ona światu tysiące talentów. I w tym roku liczba wystawiających dochodzi do 1,300.

Obok dzieł nadesłanych przez stałych członków Salonu, widać liczny zastęp dzieł nowych z podpisami nieznanymi artystów.

I tutaj polaków nie brakuje, kilkanaście płócien i to wcale dobrych, należą do naszych artystów. Do najlepszych należy kilka pejzaży Austena, z tych przeszlicznego kolorytu *Mgła jesienna* szczególnie zwraca uwagę. Dalej bardzo efektowny i dobry obraz Bolesława Niteckiego, zatytułowany *Pajeczyna*. Portret Kazimierza Markiewicza przedstawiający młodą osobę w rannym negliżu. Doskonały własny portret Badowskiego i dwa, bardzo dobre w efekcie, pejzaże Andrzejewskiego.

Z innych cudzoziemców, odznaczyli się: amerykańcin z Chicago Guy Maynard, wystawiający obrazy bardzo oryginalne w efekcie światła, impresjonistyczne, a jednak bardzo harmonijne w kolorze, a co nadewszystko nadzwyczajnie plastyczne. Aby opisać tego rodzaju talent potrzebna by zrobić o jego obrazach osobne studyum co się nie da skutecznie w pobieżnej wzmiance.

Muller toskańczyk dał doskonały portret mężczyzny przeglądającego książkę.

Nakoniec wspominam o obrazach norwegecyka Muncha, przed którymi publiczność tłumnie się gromadzi, oraz o kilku doskonałych obrazach francuskich malarzy jak: typy rybaków Valton'a, Greilsamer'a typy miejskie, pejzaże—Lechat'a, Moissenet'a, Frechon'a, Sonnier'a, Espinet'a i kilku innych.

Przed samem ukończeniu tej artystycznej notatki, przyniosły dzienniki wieść o rozdaniu nagród w Palais de l'Industrie.

Medal honorowy, to jest najwyższą z nagród, przyznano doskonałemu pejzażyście Henrykowi Harpignies'emu. Obdarowany jest starszem przeszło siedemdziesięcioletnim, od dawna zajmującym pierwszorzędnym miejsce pomiędzy francuskimi malarzami.

W dziele rzeźby tę samą nagrodę przyznano za grupę marmurową, p. M. Moreau, także należącemu do pokolenia artystów starszych. Na tem kończemy nasze sprawozdanie o tegorocznych Salonach sztuki.

Przedstawiony w operze Otello ze słynnym Tamagno w roli tytułowej, wywołał niesłychane zainteresowanie. Jako śpiewak i jako artysta Tamagno jest niezrównany. Opisać uczucie wstrząsającego wrażenia, wywołane jego śpiewem niepodobna. Jest to głos niebywałej skali i brzmienia. Entuzjazm publiczności, dochodził do szału. Przesyłam też wam kilka szczegółów o nowym Otellu.

Tamagno jest wysokim, tegim blondynem, o bardzo sympatycznej powierzchowności. Pomimo tak nadzwyczajnego powodzenia, pozostał zawsze skromnym. To też, oprócz zazdrośnych, przyjaciół posiada wielu.

Po tryumfach w całej Europie i Ameryce, pierwszy raz ukazał się Paryżowi i od razu go zdobył. Karyerę artystyczną zaczął pod przewodnictwem Pedrottiego w konserwatorium w Turynie. Debiutował pierwotnie w 1872 r. w Palermo, Wenecji, Barcelonie, a nakoniec zasłynął w la Scala w Medyolanie. Czerpał swe role przeważnie z repertuaru Verdiego i Meyerbera. Śpiewał również w operach Gounod'a i Massenet'a.

Syn prostego wieśniaka, Tamagno w latach pierwszej młodości, sprzedawał kartofle po ulicach Turynu. Pewnego wieczoru, razem z kilkoma towarzyszami śpiewał na placu, przez który przechodził właśnie jeden z turyńskich melomanów. Zachwycony niezwykle pięknym głosem chłopca, namówił go do poważnych studyów i w kilka lat, ukazał się światu nowy zdumiewający artysta.

Włochy przysłały nam również swoją najznakomitszych tragiczkę. Słynna Eleonora Duse jest od wczoraj w murach naszego miasta.

Sarah Bernhardt słusznie nazwana jej rywalką, na skutek przedstawienia impressaryja Schurman'a, udzieliła gościnności włoskiej artystce w swoim własnym teatrze.

Eleonora Duse będzie grać w teatrze de la Renaissance. Repertuar, jej składa się: z *Damy Kameliowej*, *Mogdy*, *Zony Klaudyusza*, oraz sztuk włoskich *Pinera*, *Goldoniego* i *Vergi*.

Pierwszy występ naznaczony został na 1-go Czerwca, a Paryż z niecierpliwością oczekuje tej artystycznej uczty. Tymczasem ciekawi paryżanie, do których należy i wasz sprawozdawca oglądać mogą *la Duse* natarasie Grand-Hotel'u, w którym wielka artystka zamieszkała. Ubrana skromnie w ciemny angielski kostium, w okrągłym kapeluszu, za woalką, z małym woreczkiem w rękę, siaduje często do poobiedniej kawy z kilkoma osobami na hotelowym tarasie przy stoliku. Rysy twarzy ma regularne, trochę krótkie bez wielkiego wdzięku. Za to oczy posiadają wyraz niezrównany. Do tego pobieżnego szkicu dodaję jeszcze krótką biografję. Eleonora Duse, od kilku lat z mężem rozwiedziona, posiada przeszliczną siedemnastoletnią córkę, której wychowaniem niezmiernie czule się zajmuje. Nadzwyczajnie nerwowa, nie bywa w święcie, zamknięta w ścisłym kółku zaufanych przyjaciół. Letnie miesiące spędza zazwyczaj w swym pałacu w Wenecji, po francusku mówi doskonale.

Do najświeższych wiadomości teatralnych trzeba także zaliczyć z wielkim powodzeniem wystawioną w Komedii Francuskiej *Fredegondę* Dubout'a. Treści zaczerpnął autor w starych historycznych kronikach Francji.

Ponura tragedia młodego autora posiada za mało siły i kolorytu epoki i nie ma ani jednego silnego charakteru. Nawet sama bohaterka dramatu nie jest dość silnie zaakcentowaną postacią. Pomimo wad, widać w sztuce talent sceniczny autora, który powinien wejść na właściwszą drogę.

Zawód także spotkał Operę Komiczną.

Wystawiona *Wizya Okrętu* Wagnera nie doznała powodzenia. Za to *Sapho* Massenet'a zapowiada się świetnie w tym teatrze.

W Wielkiej Operze szykują nowy balet *Wormsera Gwiazda*, i wznowić mają *Hugonotów*.

Odeon święcić ma setne przedstawienie sztuki Richepin'a noszącej tytuł *Cheminearu*.

Teatr Gymnase wystawia *Rosinę*, nową czteroktową sztukę Alfreda Capus.

Pogrzeb księcia d'Aumale, był niejako ostatnim echem okrutnej ogniowej katastrofy. Ciało księcia przywiezione z Sycylii, spoczywało kilka dni w kościele Ś-ej Magdaleny, z kądem po solennem nabożeństwie, odwiezionem zostało do rodzinnych grobów w Dreux.

Ze sprzedaży dzieł i kolekcji Goncourt'ów osiągnięto sumę 1,300,000 franków. Zatem życzenie zmarłych braci powinno się urzeczywistnić. Akademia Goncourt'ów będzie założona. Alfons Daudet, główny wykonawca testamentowy, twierdzi, iż nawet w razie przegrania procesu z rodziną Goncourt'ów Akademia ich imienia powstanie drogą składek.

C. H.

## TEATR.

Maski dramat w jednym akcie. *Niewierna* komedya w trzech aktach—przez Roberta Bracco.

Tajemniczy a nie wyczerpany jest ten umysł ludzki. Zdawałoby się, że od kiedy człowiek zawładnął piórem i—czy popuściwszy wodze fantazy, czy pierwszeństwo oddawszy zmysłowi obserwacyjnemu—zaczął na papier przenosić widzenia sense albo postacie rzeczywiste, nie już nowego a przynajmniej zupełnie nowego stwo-

rzyć nie można, że zużyte już zostały wszystkie światła i cienie, wszystkie tony i półtony, szare i jasne barwy. I zaisiste! gdyby umysł ludzki nie był tak twórca, głębia duszy ludzkiej tak bezdenna nie była—wszyscy *ostatni* pisarze musieliby być tylko naśladowcami swych poprzedników, potracając w dawno przebrzmiałe struny, powtarzając jedne i te same motywy, niemal jednymi i temi samymi wyrazami przemawiać.

Ale na szczęście tak nie jest. Choć „wszystko to już było,” powiedział Ben-Akiba, w tem „życiu” jednak można jeszcze dojrzeć wiele stron ciekawych, potrzeba dać im tylko stosowne oświetlenie i patrzeć umieć. Ta zdolność patrzenia, dopatrywania raczej, jest udziałem talentów wyższych; wypadki mogą być bardzo codzienne, bardzo powszednie, ale w tej powszedniości baczny spostrzegacz dojrzy jakieś odrębne całkiem drganie duszy—i—dość mu już tego rysu, by wzięwszy postać tyśiąckroć razy odtworzoną, znaną na wylot prawie, przedstawić ją przed oczyma naszymi z tym nowoodkrytym a zamięlnym rysem. W ten sposób, jakkolwiek widzimy znajomych niby ludzi, znajomą niby płataninę wypadków, wszystko jest dziwnie świeże a urocze, nowe i niewidziane dotąd.

Prawdziwy talent nie lęka się naśladowstwa. Charaktery ludzkie, wrodzone lub nabyte popędy, nie zmieniają się tak jak rękawiczki po balu. Zbójca morduje, złodziej kradnie, żołnierz ginie na polu walki, lecz choćby wszyscy w jednym i tych samych warunkach byli postawieni, choćby mieli bodźce jednakie, choćby samo wykonanie danych czynów nie odróżniało się niczem od podobnych innych wykonań—w drganiach ich dusz zachodzić musi różnica pewna, ta odrębność, którą talent pisarski w lot chwytą i na zużytej nieraz kanwie wypadków, tka desenie o barwach zupełnie świeżych, dziwnie ponętnych. Ten dar obserwacyjny, połączony ze zdolnościami twórczości—daje nam wielkiego pisarza. Takim bezwątplem jest Robert Bracco, którego dwie sztuki w d. 29-ym Maja widzieliśmy w Teatrze Rozmaitości.

On, ona i ten trzeci bywają najczęściej przedmiotem dramatu lub komedyi dzisiejszej. Temat jak świat stary, na wszystkie obrobiony sposoby, nadużywany w nowellach, powieściach i sztukach teatralnych, powinien już stać się oklepanką pozbawioną jakiegokolwiek bądź interesu. Ale pisarz włoski nie zląkł się tego chleba powszedniego, wziął rzecz znaną bardzo dobrze, w dramacie—złamanie małżeńskiej wiary, w komedii zalotność damy wielkoświatowej i dał nam rzecz przesliczną, skończoną pod względem artystycznym, scenicznie doskonałą, pod względem moralnym stojącą nad poziomem wielu a bardzo wielu sztuk, na któreśmy z widowni naszego teatru patrzyli.

Jednoaktowy dramat poprzedził trzyaktową komedię. Porządek obrany doskonale. Podrażnionym nerwom potrzeba dać spokoju i mamy go po brzegi. Opuszczamy podwoje teatru z zupełnym zadowoleniem, choć w umyśle naszym przesuwać się obrazy pełne grozy, lecz wnet giną w fali wesołości, do której wciaż powracamy. Miotają nami smutek i wesele, dwie fale kołyszą się, walczą z sobą, wreszcie następuje równowaga uczuć, której wyrazem jest—zadowolenie.

W mieszkaniu kupca Luigi Palmiera dokonana została zbrodnia samobójstwa. Przez zażycie arszeniku pozbawiła się życia żona kupca, który od trzech kwartałów za progami domu swojego bawił, zatrzymany interesami handlowymi. Palmier własną pracą utrzymuje rodzinę, ma córkę Idę, dziewczętko już dorosłe, które jest na nauce w klasztorze. Stęskniony do rodziny, uprzedza żonę listem o swoim powrocie—i właśnie w dzień jego przyjazdu trucizna przecina nić żywota ukochanej kobiety.

Zaraz po podniesieniu kurtyny, otacza nas atmosfera grozy. Do mieszkania nieobecnego Palmiera wchodzi: komisarz policyi, pisarz i lekarz sądowy. Pierwszy dla śledztwa, drugi dla spisania protokołu, ostatni dla dokonania sekcji na trupie i potwierdzenia faktu otrucia. Badana Francesca, służąca nieszczęśliwej swej pa-

ni, mówi o zażyciu przez nią trucizny. Nieboszczka przyznała się jej przed śmiercią do samobójstwa „i—dodaje Francesca z łkaniem—pozwoliła jej na własność wziąć czarną jedwabną suknię.” Doskonały to rys jest owych sług wiernych, którzy, przy szczerym nawet żalu, z pewnym zadowoleniem mówią o otrzymanym подарunku.

Co było przyczyną zbrodni?

Niewiadomo..... Według zeznań Franceski, małżeństwo żyło w zgodzie, nie było przyczyny żadnej do tak rozpaczliwego kroku, a jednak, nie bez niej się nie dzieje. Francesca nie wie o niczym, a jednak kłamie—czasem się zdradza trwóźnie wypowiedzianymi słowami lub przerażonym okrzykiem: nie wiem nic—nic nie wiem!

Komisarz policyi zostaje z pisarzem, czekając na doktora, który wszedł do alkowy dla zbadania ofiary jakiegoś obłądu. Zabroniono tłumom cisnąć się do wnętrza mieszkania, straż otoczyła dom i ma rozkaz nie wpuszczania nikogo lecz ten rozkaz nie może się dotyczyć męża nieboszczki, który powraca z podróży, widzi dom swój otoczony, dowiadyuje się o katastrofie i na pół obłąkany wpada do swojego mieszkania.

—Otruła się—to nie może być! woła—i z nieludzkim rykiem wpada za kotarę, tarzając się tam u łoża ukochanej żony.

Obecni spisują protokoł. I oto doktor, po zbadaniu samobójczynie, wypowiada słowa: Dwa życia zniszczone, żona Palmiergo miała być matką—gdy Palmieri na progu alkowy staje, wiadomością tą jak gromem rażony. Cały gmach rodzinnego szczęścia zwalony od razu, w duszy swej nie może nawet zachować nieskalanej pamięci żony, i hańba własna do szалу go doprowadza.

Ale gdzie spólnik tej zbrodni?

Po wyjściu komisarza z oburzeniem zwraca się do Franceski i wyjaśnień żąda. Francesca nie wie, lecz każde słowo ją zdradza. Luigi dowiadyuje się niewiele, ale uderza go zeznanie sługi, że—pani przed śmiercią pisała list jakiś do spólnika Palmiergo w handlowych interesach, niejakiego Paolo Gracyani.

Co pisała?

O strasznym zamiarze otrucia się—

Tak! pisać mogła—lecz w takim razie i do niego do męża, powinna list jakiś zostawić.

On musi list ten znaleźć—szuka go wszędzie—

Niema i niema—

Okropna prawda staje przed oczyma nieszczęśliwego—Paolo był kochankiem jego żony.

Precz! woła do Franceski, która przyparta do moru, w balamutnych zeznaniach potwierdza domysł okropny.

W tej chwili wbiega Ida i z krzykiem rozpaczczy rzuca się w ramiona ojcowskie. Chce biedzi i upaść do zwłok matczynych, ale Palmieri do zwłok tych nie puszcza dziecka. Dla czego? córka nie rozumie—widzi tylko ojca w dzikiej rozpacz i opór jego stanowczy. Zniewolona przez rodzica, opuszcza pokój, by o spokój się modlić. Tymczasem nie wiedzący o przyjeździe Palmiergo Paolo, wchodzi—ale rzecz się wyjaśnia szybko, słowa uwiedzionego poczuciem ciężaru zbrodni uderzają w pierś uwodziciela.

Świetnie tu jest przeprowadzona scena Palmiergo z Paolem, gdzie chęć zemsty walczy z koniecznością ukrycia prawdy przed Idą.—Nie! to dziecko niewinne o winie matki nie powinno nie wiedzieć; musi do zwłok się jej zbliżyć, ostatni uścisk wieczystego pożegnania położony na rękach jej i czole i czystą, nieskalaną zachować w pamięci swojej.

Jak tego dokonać?... Morderstwo Paola, zerwanie z nim nawet stosunków—da do myślenia światu, później otworzy oczy Idy na to, co musi być dla niej nie przeniknąną zasłoną pokryte. Ha! potrzebna jest maska—przyjaźni!

Tu dramat w tragedję się zmienia. Mąż i uwodziciel muszą udawać przyjaźni, mieszkać jak dawniej, prowadzić jak dawniej interes wspólny, śmiechać się do siebie, ścisnąć, wzajemnie zyskami się dzielić. Paolo czuje teraz wielkość swej zbrodni i ciężar takiego życia.

Lecz konsekwencja wypadków nakłada to jarzmo mu na szyję—zrzucić go, byłoby szczytem podłości. Mając piekło w duszy, muszą światu pokazywać się w maskach dobrej przyjaźni z ust nie wolno stracić uśmiechu, który ma uchronić Idę od podejrzeń mogących złać to życie młode.

Teraz ojciec woła córkę i pozwala jej do trupa matki się zbliżyć, a pytany przez władzę policyjną, dla dopełnienia szczegółów protokołu, jak długo bawił poza domem? pozwala wyręczyć siebie Paolowi, który czas niebetyności spólnika do czterech miesięcy skraca.—

W krótkim tym dramacie, Robert Bracco dał nam rzecz wstrząsającą realizmem swoim. Nie rozwiązał jednak dramatu sztyletem lub kulą—nie wystarczającą mu była podobna *ultima ratio*. Luigi wznosił się tu wyżej od każdego przeciętnego człowieka. Dusza grzeszna jego małżonki do spowiedzi już przed Bogiem stanęła—tu idzie o duszę, której nieznany jeszcze jest brud tego świata, którą nieraz nad przepaścią wśród błędnych dróg życia, powstrzyma wspomnienie—matki!

To wspomnienie często być musi jak kryształ.

Nie masz cienia, do którego się słoneczne światło nie przekradło. Tem światłem była trzyaktowa komedia Roberta Bracca, której autor dał tytuł—„Niewierna.”

Potrzeba samemu być i widzieć tę znakomitą ze wszelkich miar sztukę, ażeby ocenić mistrzostwo włoskiego pisarza w umiejętnym prowadzeniu dialogu, który skrzy się dowcipami, potrąca o najdrażliwsze przedmioty, nie budząc nigdy niesmaku, powołując tylko do śmiechu słuchacza, do tego zdrowego śmiechu, który jest orzeźwieniem duszy.

I tutaj wchodzi on, ona i ten trzeci, a choć sztuka, sama przez się, cały wieczór może zająć, nie przykuwa uwagi naszej misterną bajką, zakłamaną intrygą, nadzwyczajnymi niespodziankami, przeciwnie! jest dziwnie prostą w układzie, codzienną, zwyczajną historią domowego pożycia małżonków, ludzi z wielkiego świata, do którego i *ten trzeci* należy, nowożytny Don Juan, pewny siebie w zdobywaniu serc niewieściech, pragnący pozyskać względy hrabiny Klary San Giorgi, która lubi się otaczać wielbicielami swoich wdzięków, być kochaną i psuta przez ród mężki, zamłowana w strojach, pięknoscią ramion i gorsu nęcąca ku sobie coraz większe gro- no adoratorów.

Hrabia Silvio San Giorni, mąż salonowej piękności, trochę niechętnymi oczyma patrzy na zbyt wielką zalotność swej ukochanej żony, ale ani jej może uwagę zrobić, ani zazdrośnym jej się okazać, bo—dał słowo przed ślubem jeszcze, że wzbrowni do siebie przystępu temu niedobremu uczuciu, a gdyby żona—dostrzegła w nim niedowiarstwo, ślad niedowiarstwa nawet—wtedy naprawdę postarałaby się o kochankę i skwitowałaby z miłości małżeńskiej.

Taki warunek postawiła mu—na taki warunek on się zgodził.

Warunek nieimiły—ale zakochany hrabia Silvio przystał na ten kaprys kobiety, wierząc w miłość do siebie Klary i czystość jej duszy. Nie razi więc go, gdy piękna Klary, w przepysznej balowej toalecie, z ramionami obnażonymi i gorsem—oczekuje przybycia Giano Riccordi, z którym ma się udać do Teatru Opery. Widząc jednak strój ponętny i mając na uwadze tę wycieczkę sam na sam—mimowoli ukrywające uczucie zazdrości budzi się w sercu męża i—i proponuje żonie, by i on mógł towarzyszyć jej do łoża.

Lecz na to zgody nie otrzymał.

Rozpieszczona kobieta chce się bawić, rzucać dwuznaczne półsłówka, drażnić serca lwów salonowych, upewniać ich w możność podboju—a obecność męża przeszkodą by tylko była. Wahającemu się przypomina daną niegdyś obietnicę, że śmiechem grozi jej wypełnieniem i—zostawszy sama, przyjmuje w swoim buduarze pana Riccordiego, który zostaje w nim na wieczór, albowiem przedstawienie odłożone.

Pewność pewnego siebie adonisa, wzbudza śmiech w pewnej sobie kobiecie. Lecz według zdania wielbiciela wdzięków pani Klary, ta pewność jej zdążyła tylko pochodzi, że się boi narazenia na pokusy, otoczona strażą konwenansu, lecz gdyby, na przykład, zechciała kawalerskie odwiedzić jego mieszkanie—kruchem szkłem okazała by się jej cnota, bo Riccordi nie zna przegranej, jak piękna Klara nie zna pokus samotnego otoczenia.

— A więc dobrze—jutro o drugiej po południu—przyjdę do pana.

Słowo dane—oboje są pewni zwycięstwa. Uszczęśliwiony Riccordi wychodzi.

Ta druga jednak godzina zaniepokoiła hrabiego Silvio. Malarz portrecista miał przyjść o tej właśnie godzinie—hrabina Klara odmówiła posiedzenia, mając wyjść dokądś. Na zapytanie zaś męża: dokąd? odpowiada z kokieteryą— a tobie co do tego?

Akt drugi prowadzi nas do stosownie, na przyjęcie pięknej kobiety, urządzonego gabinetu Riccordiego. Otoczenie ponętne, posągi i obrazy mitologiczne, a i zbiór fotografii odpowiada podjętemu przez kusiciela zadaniu. Przed drugą jeszcze godziną słyhać czyjes kroki—to ona, pośpieszyła. Otwiera ucieszony Riccordi drzwi— ale nie—to nie ona, to jej mąż się zjawił.

Przekomiczna następuje tu scena. Hrabia Silvio, widząc pewne strapienie się Giana, pyta czy nie ma zamiaru wyjścia dokąd? Upewniony, że nie—zostaje, ale gdy fatalna zbliża się chwila, Riccordi przyznaje się, że rzeczywiście ma wyjść—wtedy Silvio nie zatrzymuje go wcale, lecz narzuca się na towarzysza. Co tu począć?—Lowelas wpada na pomysł, i mówi, że miał spotkać się z hrabiną Klarą na ślizgawce i dać jej pierwsze nauki suwania się na kółkach. Lecz się spóźnił. Uprasza więc Silvia, by był tak grzeczny i sam poszedł i w jego imieniu przeprosił za to opóźnienie się hrabinę.

Hrabia wychodzi—po chwili zjawia się Klara. Tego spotkania opisać nie sposób, potrzeba widzieć, by mistrza poznać—

Komiczna, lecz rzeczywista pewność hrabiny, zupełnie z pantaląku zbija Don Juana. Narzucanie się jej, do rozpaczki go doprowadza. Widzi w tem wszystkim żart, co go ostatecznie śmiałości pozbawia. Lecz żart ma swoją poważną stronę. Hrabia Silvio, nie zastawszy żony, tknięty złem przeczuciem powraca. Na odpowiedź lokaja, że pana niema w domu— „poczekam na niego“—odpowiada.

Poznaje teraz pani Klara, że wpadła w pułapkę—żąda jakiegось wyjścia z tej kabały i z pomocą jej przychodzi sam Riccardi, dając klucz do drzwi bocznych ale ratunek jej chce okupić choć ceną—pocałunku! Na to nie masz zgody—bez tegoż nie ma ratunku. Obrażona propozycją hrabina, każe lokajowi Gianiego, by poprosił jej męża, bo ona na męża czeka.

Hrabia wchodzi—ze spokojem wita się z nimi, ale żonie na ucho szeptem:

— Zabiję cię!

— Nie tutaj — u siebie w domu! odpowiada pewna władzy swojej nad mężem Klara.

Akt trzeci — mieszkanie hrabiostwa—buduar hrabiny. Od czasu ostatnich wypadków, upłynęło dwa długie miesiące. Hrabia nie przekroczył pokoju żony, spotykali się tylko przy obiedzie, „Pan“ i „Pani“ przemawiają do siebie. Hrabina się nudzi, hrabiego trapi wciąż niepewność. Klara każe poprosić pana na herbatę—pan wchodzi przywołany, ale smutek na jego czole, powaga w ruchach.—Po ceremonialnem przywitaniu się i słowach banalnych—hrabina czar swych wdzięków roztacza przed mężem. Kokietuje go teraz jak niegdyś swych wielbicieli, mąż odurzony jej wdziękami przebacza jej wszystko—o niczem wiedzieć nie chcąc—byłoby nie skąpiła swojego uśmiechu i uścisku.

Tu obudza się duma kobiety—obrażona niedowiarstwem i posądzeniem. „Miałeś mnie zabić—dla czego przebaczasz, gdy wierzysz w wierną moją? Przebaczasz dla obiecanych pieszczoł—to ohydne!“ Gdy mąż żąda dowodów niewinności—daje takowe.—Lecz teraz—„spełniam obietnicę—zrywam z tobą i szukam kochanka.“

Hrabia nie wierzy—lecz— „Mam go już“—mówi Klara. „Gdzie on jest?... woła w przerażeniu Silvio,—a ona, z uśmiechem dłoń mu na ramię zarzuca, nie chcąc już być żoną jego, tylko kochanką jego.

Prześliczna scena—arcydzieło sielanki w nowym stylu.

Lecz oto lokaj list wnosi.—To pisze Riccordi, że opuszcza Neapol i przed wyjazdem chce raz ostatni z Klarą zobaczyć się. Otrzymałszy pozwolenie widzenia się o zmierzchu, wraca mu dawna zarozumiałość i pewność wykonania swych zamiarów. Wchodzi tryumfujący, lecz oto—z sypialnej komnaty hrabiostwa, dolatuje do niego śmiech szczęśliwego małżeństwa.

Riccordi wynosi się cicho przy frenetycznych oklaskach przepełnionego teatru.

Śmiało możemy powiedzieć, że tak doskonałej pod każdym względem komedii, nie widzieliśmy dawno na naszej scenie. Powinnoważe możemy szczęśliwego wyboru reżyseryi i zyczyć, by jak najwięcej sztuk podobnych dawała, a nie zabraknie jej życzliwych słów uznania spragnionego dobrych rzeczy ogółu.

Cóż mówić o wykonaniu?

Grali—Leszczyński (Silvio) Lüdowa (Klara) i Wolski (Giano).—To dość!—Takich artystów jak tych troje nie wszędzie spotkać można—cni tylko, z dodatkiem oczywiście Frenkla, Nowickiego, Prażmowskiego, Rapackiego i Ładnowskiego podtrzymują dawną sławę naszego teatru.

Kazimierz Gliński.

## NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

### Malaga.

Kiedym nad ranem, po smacznie przespanej nocy, wyszedł na pokład, była pogoda, morze lśniło się wyglądem, a okręt płynął równo, prawie nie kołysząc się wcale.

Pierwszym człowiekiem, na którego się natknąłem, był kapitan Marinelli. „Szkoda, żeś pan dziś nie wstał o 5-ej, rzekł, widziałbyś pan przepyszny wschód słońca. Morze jeszcze nie było tak spokojne, jak w tej chwili, a po niebie, bardzo niewysoko nad morzem, snuły się porwane strzępy wczesnych burzliwych chmur. Strzępy te, kiedy poczęły wsiąkać ponsowe promienie słońca, które wschodziło nadzwyczaj czyste i jaskrawe, były wspaniałe. Dla pana, jako dla literata-artysty, był to widok przedni, jakiego się nie widuje codzień.“ „Trudno, już się stało, odrzekłem z filozoficznym spokojem; co się stało, już się nie odstań, dlatego nie żałuję, bo w ogóle trzymam się zasady w życiu, aby niczego nie żalować, co się odrobić nie da. Choćbym pękł, już tego wschodu słońca nie zobaczę. Może zachód będzie równie piękny?“ „Tak, odrzekł kapitan, ale co wschód, to nie zachód.“ „Jestem tego samego zdania, odrzekłem, ale muszę się panu przyznać otwarcie, że w ogóle jestem większym zwolennikiem zachodu niż wschodu, a jak chodzi o wschód i zachód słońca, to zachód ma tę niewątpliwą wyższość nad wschodem, że nie wymaga zrywania się o świcie... Ztąd zawsze wolę podziwiać zachody słońca, niż wschody, a kto wie, czy się to nie tłuma-czy tem, że w każdym calu jestem człowiekiem kultury zachodniej... To jest także genezą mej obecnej podróży, a jeśli w niej zawadziłem o wschód t. j. o Tanger, to dlatego jedynie, że ten wschód leży na zachodzie...“ Na takiej rozmowie upłynęło nam kilka minut, gdy nagle, przed dziobem okrętu, ujrzałem na krańcu morskiej rzotoczy pod błękitnem i pogodnem niebem bez chmur, długą niebieskawą smugę, której nie zauważyłem był dotychczas, a którą oczywiście nie było nic innego, tylko ład. Jaki? Nie

mogąc wiedzieć tego, zapytałem kapitana, z którym przez czas rozmowy przechadzałem się po pokładzie: co to za brzeg widać? „To Hiszpania, odrzekł, zbliżamy się do Malagi. Za nie całą godzinę zarzucimy kotwicę w porcie.“

Tymczasem zaczęli się ukazywać inni pasażerowie. Pierwszy zjawił się nasz pseudo-Dumas, który ledwo się z nami zdążył przywitać, zaraz zaczął wymyślać na wczorajszą wycieczkę do Gibraltaru, przyczem głosił hymny na cześć mojej roztropności (tem dziwniejszej i godniejszej podziwu, że w tak młodym wieku), roztropności, która mi odradziła tę awanturę ekspedycję. „Sacré nom, mówił, żebym był przewidział, że to się skończy na takim powrocie, z pewnością zostałbym z panem. A tak... Jeszcze w tej chwili nie jestem pewny swych nóg. Głowa mi ciąży, jak po przepiciu, w skroniach czuję newralgię, a osłabłem tak, jak po chorobie.“ „Powiedz pan, jak po morskiej chorobie, a porównanie będzie zupełnie trafne.“ Roześmieliśmy się na tę uwagę kapitana, mnie zaś, gdy mój spojrział na naszego Francuza, na jego pobladałą twarz, na podkrążone oczy, chciało się śmiać jeszcze bardziej, bo jeśli i w tej chwili wydał mi się podobnym do młodszego Dumasa, to jednak wyobrażałem sobie, że tak mógł wyglądać autor *Półświatka* po zbyt gorliwych studiach przygotowanych do tej komedii...

Po chwili zjawili się nasi dwaj „głuchoniemi“ Angliści, którzy także robili wrażenie, że im nie posłużył wczorajszy Gibraltar: mieli takie miny, jakby się spodziewali recydywy po wczorajszej morskiej chorobie, jakby wciąż nie byli pewni, czy wczorajszą kolację dowiozą do Malagi. Nie wiem, czy to było powodem, że się nawet nie przywitani z nami, jak to zresztą czynili wszyscy, znajomi czy nieznajomi pasażerowie; dość, że nie raczyli nawet uchylić swych sukiennych czapek, kiedy nas mijali: przeszli, jakby nas nie widzieli, a podszedłszy do jednej z białych ławek, usiedli. Po krótkiej chwili milczenia każdy wyjął krótką fajeczkę, woreczek, z tytoniem, poczem obaj, pozapalawszy fajki, rozwalili się *sans gêne* na ławce, z wyciągniętymi nogami a rękoma w kieszeniach, obojętni na wszystko, co się działo dokoła, zapatrzeni wyłącznie w kłęby niebieskiego dymu, którym pykali raz po raz.

W końcu ukazał się i czterej weseli kapturci naszego Dumasa, a wystarczało spojrzeć na tę wesołą „czwórnię hultajską“ w granatowych beretach baskijskich i takichże krótkich pelerynach ze zwieszonymi kapturami na plecach, ażeby poznać odrazu, że już zdołali odzyskać swój zwykły humor, że ich ta noc wróciła do równowagi, że co popsuł wczorajszy Gibraltar, to naprawiło dziesięć godzin młodego snu. Jakoż ledwo się przywitani z nami, zaraz zaczęli dowcipkować, opowiadać, co się każdemu z nich śniło tej nocy, a opowiadali tak dowcipnie, żeśmy nie zauważyli nawet, jak na pokładzie pojawiło się jeszcze kilku pasażerów, z których wszyscy, w miarę, jak wychodzili z kajuty, witali się z kapitanem, rozpytywali o różne rzeczy, o Malagę, etc. etc.

Tak upłynęło z pół godziny. O wpół do 9-jej zjawił się nasz wygolony *maitre d'hôtel*, który nas zaprosił na śniadanie.

Kiedysmy weszli do sali jadalnej, nasze damy t. j. pani Stone z córkami, już siedziały przy stole. A pan Stone? Zapytana o niego, pani Stone, która bardzo ładnie i świeżo wyglądała tego ranka (widocznie jej posłużyła wczorajsza morską choroba), oświadczyła swemu skrytemu wielbicielowi (mam tu na myśli naszego Dumasa), że jej małżonek ma migrenę po wczorajszej wycieczce, co mu prawdopodobnie nie pozwoli nawet wstać w Maladze. Całą noc spędził bezsennie, a w tej chwili, po zażyciu silnej dawki antipiryny, zdrzemnął się trochę.

— A panie wysiadą w Maladze? zapytał nasz Dumas, zwracając się do pięknej Angielki.

— Mamy zamiar przynajmniej. Pogoda jest tak piękna. Podobno, że Malaga jest godną zwiedzenia.

— O, pod każdym względem, odrzekł nasz sobowtór Dumasa, a znać było, kiedy to mówił, że

mu zależało na tem, aby te panie koniecznie pojechały zwiedzić Malagę. Nadto robił wrażenie, jakby mu wieść o tem, że pan Stone nie pojedzie, lecz zostanie na okręcie, bardzo była na rękę. Można by mniemać, obserwując jego ożywienie, z jakim zaczął prawie o cudach Malagi, że mimowoli ucieszył się z tej migreny pana Stone, że sobie niemało obiecywał po tej wycieczce do Malagi, przynajmniej więcej nierównie, aniżeli po wczorajszej Gibraltarskiej...

Tymczasem ja, choć nie przestawałem obserwować tego siwiejącego Don Juana, jak zarzucał sidła na powabną „matkę córkom“ (obok której miał stałe miejsce przy stole), nierównie więcej zwracałem uwagi na owe córki, z których jedna zwłaszcza—moje *vis à vis*—pomizerniawszy po wczorajszym Gibraltarze, nie bacząc na rażącą prozaiczność tej przyczyny, wyglądała dziwnie poetycznie: poprostu oczu nie mogłem oderwać od niej, tak była śliczną. Błada, z nieco wpadniętymi oczyma,—co oczywiście podnosiło ich urok—z temi pysznymi włosami blond, których bujna fala tak cudownie układała się nad subtelnym ówalem tej idealnej główki, robiła wrażenie jakiegoś delikatnego kwiatu, np. lilii wodnej. Wyglądała tak, że chciałoby się ukłęknać przed nią, a jednocześnie tak pociągała ku sobie, tak ziemskopowabną była w tej luźnej jasno-niebieskiej bluzce z białym koronkowym kołnierzem, że mimowoli wyobrażałem sobie, z jaką rozkoszą czuło by się ją—jak powiada Słowacki—„na swych piersiach, białą, sercem bijącą, brylantową w oczach...”

Skorom tu wymienił nazwisko Słowackiego, to choć nawiasem nadmienię, że patrząc na to moje *vis à vis* i rozmawiając z nim, kiedym się dowiedział w toku rozmowy, że ma na imię Zofia, mimowoli pomyślałem sobie, że tak musiała wyglądać owa „Zosienka“ Bobrowna, której autor *Beniowskiego* zawsze przynosił cukierki na imieniny, a która, jako nieodrodna córka swej pięknej matki, również musiała być śliczną... Czy była tak piękna, jak to moje okrętowe *vis à vis*? Nie umiem powiedzieć, choć wiem, że gdyby to okrętowe *vis à vis* było Polką, do której by się nie było zmuszonym mówić po francuzku, ale można byłoby mówić po polsku „Panno Zosiu“ albo poprostu „Zosienko“ to taka jasnowłosa Zosia mogła by się stać wielce niebezpieczną dla młodego literata o niezajętym sercu...

Ferdynand Hösick.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Kronika działalności kobiecej.

— Instytut lekarski dla kobiet w Petersburgu, otwarty zostanie w pierwszej połowie Października r. b. Na początek otwarty będzie tylko pierwszy kurs.

— Do Szwalni III zostającej pod opieką Warsz. Tow. Dobroc. uczęszczało około 80 dziewcząt w wieku od lat 10—14. Młodsze z nich, uczą się cerować i łątać, starsze szyć i haftować. Ponieważ zaś wszystkie dostają w szwalni obiad złożony z zupy i kawałka mięsa przeto zajmują się kolejno w kuchni i szwalni.

— Do zarządu wybrano na przewodniczącą Panią Nat. Liedtkową, na wice-prezydującą p. Bron. Kuczyńską, na kassyerkę P. Irenę Karłowiczową i na współtowarzyszki panie Kam. Zdziarską i Czechowską.

— Pani Iza Abbazzi Kwiatkowska, rzeźbiarka w Paryżu, wykonała płaskorzeźbę z marmuru przedstawiającą popiersie p. Alfreda Darcela, byłego dyrektora muzeum w Cluny.

— Pierwszą nagrodę, wielki medal srebrny, przyznano na wystawie ogrodniczej w Berlinie, pannie Annie Karłowskiej z Poznańskiego.

— Kierowniczka szkoły im. Św. Anny we Lwowie P. Longchamps wybrana przez grono nauczycielskie m. Lwowa na delegatkę do Rady szkolnej okr. miejskiej zatwierdzona została p. Radę szkolną krajową.

— D-r nauk przyr. p. Michalina Stefanowska otrzymała w Brukselli posadę asystenta przy fizjol. Inst. Solvaya.

— Dyrekcyja galicyjskiego Banku hipotecznego przyjęła przed kilku miesiącami dwie kobiety do wydziału buchalteryjnego. Obecnie przyjęto znów sześć z prawem awansu i emerytury.

— Lwowska dyrekcyja skarbu, oddała pięć posad kalkulantów rachunkowych kobietom, tymczasem jednak bez widoku awansu.

— Astronomka Dorota Klumpke przyjęła wskutek szczególnego zaproszenia udział w angielskiej ekspedycji mającej obserwować zaćmienie słońca w Norwegii. P. Klumpke pochodzi z Norwegii i za rozprawę o kometach otrzymała w Paryżu, gdzie studia swe odbywała, od tamtejszego obserwatorium 5,000 franków nagrody.

— Rektor wiedeńskiego uniwersytetu, otrzymał od Ministra oświaty zawiadomienie, że z d. 1 Października r. b. kobiety uczęszczać mogą na na fakultet filozofii we wszystkich uniwersytetach austriackich, jako słuchaczki zwyczajne i wolne słuchaczki. O dopuszczeniu kobiet na wydział medyczny zapadnie wkrótce decyzja jednocześnie z reformą tego wydziału.

— W Indyach praktykuje obecnie, jako adwokatka P. Sorabyi, która skończyła odpowiednie kursa w Oksfordzie. Panna Sorabyi ma bardzo korzystną praktykę. Kobiety wyższych stanów mające wiele kwestyj prawnych do rozstrzygnięcia chętnie się do niej udają, bo miejscowy obyczaj wzbrania im wszelkiej rozmowy z mężczyznami prócz z mężem i braćmi. Jeżeli klientki są wdowami, to tembardziej się do niej udają gdyż wtedy z żadnym mężczyzną nie wolno im rozmawiać.

— W bieżącym miesiącu zapisały się na uniwersytet w Erlangen pierwsze słuchaczki:—dwie nauczycielki szkół ludowych i jedna nauczycielka języka z Norymbergii.

— We Florydzie otrzymała pierwszą kominację na urzędnika państwowego P. Hattie Waterbury.

— W Nowym stanie Utah w Ameryce wybrano P. Henriette Labarthe na deputowaną, a P. Agnes Cannon na senatorowę.

## Z bieżącej chwili.

— Dr. Adam Asnyk zapadł w ostatnich czasach bardzo ciężko na tyfus. Ciężka choroba znakomitego poety budzi w licznych kołach jego wielbicieli poważne obawy.

— W tych dniach odbył się w Rzymie proces przeciw anarchiście Piotrowi Acciarito, który przed miesiącem dokonał nieudanego zamachu na króla włoskiego Humberta. Wyrok skazuje

go na dożywotnie ciężkie więzienie z 7letnim odosobnieniem.

— Paderewski i Adelina Patti wystąpią w Londynie na jednym z koncertów, urządzonych z powodu uroczystości jubileuszowych królowej Wiktorii. Honorarium każdego z artystów za jeden ten występ wyniesie 25 tysięcy franków.

— Dnia 29 maja zmarł w majątku swoim w Przemęczanach s. p. Sergiusz Muchanow, ochmistrz Najwyższego Dworu i długoletni prezes teatrów warszawskich. Zmarły przez krótki czas pełnił obowiązki oberpolicmajstra m. Warszawy, poczem po śmierci generała Haukego powołany został na stanowisko prezesa teatrów, na którym wielkie dla sceny polskiej położył zasługi. Małżonce zmarłego, uczennicy Liszta, zawdzięcza warszawskie Towarzystwo muzyczne swoje powstanie.

— Z członków rozwiązanej niedawno orkiestry, organizuje dyrektor p. Konopasek nowy komplet, z którym popisować się będzie na placu tegorocznej wystawy inwentarza.

— W Krakowie otwartą została przed kilku dniami wystawa malarzy polskich, holdujących najnowszym kierunkom w sztuce, a będąca odpowiednią na wystawę secesjonistów niemieckich. Złożyły się na nią prace Chełmońskiego, Malczewskiego, Aksentowicza, Wyczółkowskiego, Mehoffera, Fałata, Augustynowicza, Stanisławskiego i wielu innych.

— Skład komitetu budowy pomnika Mickiewicza po usunięciu się ks. T. Lubomirskiego, na którego miejsce wstąpił d-r Karol Benni, jest następujący: Ks. M. Radziwiłł—prezes, H. Sienkiewicz—wice-prezes, A. Kłobukowski—zastępca wice-prezesa, L. Kronenberg, skarbnik, Z. Wasilewski—sekretarz, d-r K. Benni, hr. F. Czacki, W. Gerson, L. Górski, L. Jenike, K. Natanson i L. Szwece.

— „Revue des deux Mondes“ zamieszcza w zeszycie kwietniowym śliczną nowelę p. Konopnickiej p. t. „Krysta“ w wybornym tłumaczeniu p. Poradowskiej, utalentowanej powieściopisarki.

— Dnia 21-go Maja b. r. zmarł we Lwowie s. p. Karol Mikuli, sędziwy nestor muzyków polskich, długoletni dyrektor artystyczny miejscowego Towarzystwa muzycznego. Zmarły należał do najlepszych uczniów i interpretatorów Chopina.

— Redakcyja „Kuryera Warszawskiego“ ogłosiła z okazji uroczystości jubileuszowych konkurs na napisanie popularnego życiorysu Adama Mickiewicza, któryby był dostępny jaknajszerszym warstwom ludności. Nagroda wynosi rubli 400.

— Towarzystwo ogrodnicze postanowiło w pamiątkę uroczystości jubileuszowych ogłosić konkurs na wyhodowanie nowej odmiany pięknej jakiej rośliny, która otrzymać ma nazwę Adama Mickiewicza. Do konkursu tego dopuszczeni będą wszyscy miejscowi hodowcy roślin.

— W Cieszynie powzięto myśl wmurowania w tamtejszym kościele farnym, w roku setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza tablicy pamiątkowej ku jego czci.

— W b. m. odbyć się mają próby z telefonem między Warszawą a Petersburgiem. Próby podobne odbyte w roku ubiegłym między Moskwą a Petersburgiem dały rezultat bardzo pomysłny.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: arkusz 2-gi T. I, powieści p. t. *Marzenie* przez Flor. Marryat. Przekład z angielskiego

**Treść:** Pogawędka przez ??—Na pożegnanie, przez Izoltę. — Na łasce Powieść przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg). — Nowiny paryżkie, przez C. H. (dokończenie).—Teatr, przez K. Glińskiego.—Na morzu, przez Ferdynanda Hösicka.—Kronika działalności kobiecej z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** *Marzenie*, powieść przez Flor. Marryat. Arkusz 2 T. I. Przekład z angielskiego — Przegląd mód. 45 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycye obiadu.